

*KITSUNE*

**NADGODZINY**

Autor: Kitsune

Edytor: Joleen

Okładka: Joleen

# **NADGODZINY**

# „Piątek”

„Jestem zmęczony” brzmi jak wyświechtany frazes. Zmuszam się do wstania z łóżka, choć tak naprawdę nie wiem, jak się w nim znalazłem. Sama podróż do domu wydaje się być dość mglistym wspomnieniem. Ledwo co przyłożyłem głowę do poduszki, a już dzwoni budzik... Zrywam się na równe nogi, by znowu nie zasnąć. W dodatku ściany pokoju nie przestają wirować. Może zimny prysznic jakoś mnie otrzeźwi?

Dygoczę, spędzając kilka minut pod lodowatym strumieniem. Jeśli dodamy do tego dwie puszki napoju energetycznego oraz nowy garnitur, wszystko zaczyna nabierać kształtów. Jestem prawie gotowy, by zmierzyć się z kolejnym dniem.

Jedyną przeciwnością losu okazuje się być konieczność przekopania szafy w poszukiwaniu paska do spodni. Chyba schudłem, bo zsunęły się one niebezpiecznie nisko po moich biodrach. Nie powinno mnie to dziwić. Nie pamiętam już jak smakuje domowy posiłek, a przecież potrafię całkiem przyzwoicie gotować. A właściwie potrafiłem. Moim głównym pożywieniem są kanapki, kupowane po drodze do pracy, pod warunkiem, że kolejka nie jest zbyt duża. Jeśli grono zabieganych i wiecznie głodnych karierowiczów przekracza pięć osób (dzisiaj jest ich chyba setka), zadowalam się wyłącznie kawą. Taki tryb życia zakończy się wrzodami na długo przed trzydziestką...

Wsiadam do windy, mamrocząc „dzień dobry” innym pracownikom. Z przyzwyczajenia zajmuję miejsce jak najbardziej z tyłu. Jadę aż na trzydzieste piętro. Wolę wcisnąć się w kąt, niż być bezustannie popychanym przez obcych. Opieram się plecami o lustrzaną ścianę i przymykam powieki. Nawet najkrótsza chwila odpoczynku wydaje się być na wagę złota.

Wyraźnie słyszę charakterystyczny szelest, oznaczający zamykanie się ciężkich, metalowych drzwi. Po chwili następuje nieprzyjemne szarpnięcie. Unoszę powieki, by wyrazić w ten sposób swoje niezadowolenie. Czyjeś palce w ostatniej sekundzie opóźniły cały proces. Kolejny spóźnialski bufon... Co go obchodzi, że ktoś inny chciał wykorzystać ten czas na szybką drzemkę? W dodatku wyjątkowo wysoki. Ma chyba dwa metry wzrostu. Ubrany w drogi, granatowy garnitur, roztacza wokół aurę pyszałkowatej pewności siebie,

połączonej z jakimś egzotycznym zapachem wody kolońskiej. Towarzyszące nam kobiety wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia. Dostrzegły samca-alfę i dzięki prenumeracie „Cosmopolitan” już snują zboczone fantazje na jego temat. Przykro mi, drogie panie, lecz to nie wasza półka. Ten typek ma tak napompowane ego, że nawet nie zauważy waszej obecności. Za to z zaciekawieniem przygląda się mnie...

Walka na spojrzenia trwa mniej więcej od piętra ósmego, aż do dwudziestego czwartego. Mam więc okazję, by uważnie przyjrzeć się towarzyszącemu mi wielkoludowi. Ma nienagannie przystrzyżone, czarne włosy oraz nieco śniadą karnację. Mocno zarysowana szczeka, prosty nos i idealnie białe zęby nadają mu wygląd modela z katalogów. Nie mówiąc już o magnetyzujących, czekoladowych oczach. Z pewnością jest ode mnie kilka lat starszy. No i wygląda na wyjątkowo wypoczętego, jakby dopiero co wrócił z wakacji, czego w skrytości ducha bardzo mu zazdrozczę. Słońce, plaża, świeże powietrze... Ja nie pamięta nawet, kiedy ostatnio byłem na spacerze.

- Życie nie jest sprawiedliwe... – szepczę pod nosem do samego siebie. Mój głos odbija się od lustrzanych ścian i niepotrzebnie zwraca na mnie uwagę mężczyzny.

- Sprawiedliwość jest ślepa – odpowiada rozbawiony. Byłem tak pochłonięty jego osobą, iż nie zauważyłem, że zostaliśmy sami. Ostatni pracownicy agencji ubezpieczeniowej właśnie wysiedli. Niedobrze...

Spoglądam na panel. Zostało pięć pięter nim uda mi się uciec z tej metalowej pułapki. Tymczasem ciemnowłosy nonszalancko opiera się bokiem o ścianę, wyciąga rękę i naciska przycisk, oznaczony na czerwono.

- Co robisz?! – pytam nieco przerażonym tonem. Świetnie, Peter. Nie dość ci było wczorajszych problemów? Utknięcie między piętrami z jakimś dryblasem z pewnością możesz określić jako „wisienkę na torcie”... Jak się okazuje, prezes Rooth nie jest jedynym psychopata, pracujących w tym budynku. Uplasował się na czołowej pozycji, fakt, lecz nie jest jedyny... Dlaczego akurat ja spotykam ich wszystkich na swojej drodze? Czym zasłużyłem na takie wyróżnienie?

Gdybym był odważniejszy, podszedłbym do panelu i odblokował windę. Gdybym był... Ale nie jestem! Palce mojej dłoni wczepiają się w rączkę skórzanej teczki, jakby była kołem ratunkowym. Pod wpływem emocji robi mi

się gorąco, ciasno zawiązany krawat zaczyna uwierać, a wzdłuż kręgosłupa spływa niewielka strużka potu. Najdziwniejsze jest jednak to, iż nie są to oznaki strachu. Wprost przeciwnie. Nie boję się tego opalonego, umięśnionego i zdecydowanie zbyt wysokiego osobnika. Moje ciało reaguje w ten sposób, bo on mi się podoba...

Wstrzymuję oddech, przygryzając dolną wargę prawie do krwi. Jeszcze nigdy nie widziałem aż tak seksownego mężczyzny. Przyprawia mnie o palpitację serca. Jest przystojny, władczy i doskonale zdaje sobie sprawę z przewagi, jaką nade mną ma.

Nie oszukujmy się. W niczym mu nie dorównuję. Moja prezencja pozostawia wiele do życzenia. Mam nieco przydługawe, brązowe włosy, które dawno temu powinienem był obciąć, zbyt duże okulary w ciemnych oprawkach, no i przydałoby się, abym przytył z pięć kilogramów. Jeśli zestawimy to z podkrążonymi oczami i piegawatymi policzkami, moje szanse, by wzbudzić w kimkolwiek zainteresowanie, spadają poniżej zera. Poza tym, minęły wieki odkąd byłem na randce. Flirciarz też ze mnie żaden. Nie zmienia to faktu, iż to miła odmiana stać z kimś takim twarzą w twarz. Jego spojrzenie obudziło we mnie coś, o czym zupełnie zapomniałem.

Nim udaje mi się otrząsnąć z pierwszego szoku, winda ponownie rusza na górę. Prawdopodobnie została odblokowana przez portiera. I całe szczęście. Kilka dodatkowych minut takiego gapienia się, a totalnie bym się skompromitował. On wprost przeciwnie. Wydaje się nieco rozczarowany. Pewnie wolałby poczekać jeszcze trochę, aż zacząłbym wić się u jego nóg, błagając o uwagę. Nic z tego, gigancie.

Oszołomiony i nieco zawstydzony przeciskam się obok brązowookiego w popłochu, biegnąc do biura ile sił w nogach i zatrząskuję za sobą drzwi. Wreszcie bezpieczny... Przykładam dłoń do klatki piersiowej. Wielkimi haustami łapię powietrze. Co za ulga... Czuję się tak, jakbym uwolnił się spod wpływu jakiegoś czarnoksiężnika.

- Peter! No nareszcie! Ile mam na ciebie czekać?! – krzyk prezesa, dobiegający z niewielkiej sali konferencyjnej, która przylega do jego gabinetu, przywołuje mnie do porządku. Rzucam swoją teczkę na podłogę. Biorę kilka uspokajających oddechów i ruszam mu z odsieczą.